

Piotr Zaremba: Religia, tradycja, umysły

Stany Zjednoczone stały się istną wieżą Babel



Stany Zjednoczone stały się istną wieżą Babel - tekst pochodzi z książki "Uzbrojona demokracja"

W 1900 roku ogromną większość mieszkańców Ameryki stanowili chrześcijanie – wyjątkiem byli nieochrzczeni Indianie, około miliona Żydów oraz wyznawcy buddyzmu (Chińczycy). Największym wyznaniem był bez wątpienia Kościół katolicki (około 12 milionów

wiernych na 76 milionów Amerykanów); poza Irlandczykami należeli do niego m.in.: Polacy, Włosi, spora część Niemców, garstka Francuzów i francuskich Kanadyjczyków, na południowozachodnich kresach traktowani z góry przez białych protestantów Latynosi, a w Luizjanie – nawet i trochę Murzynów. Wśród protestantów dominowali metodyści, baptyści, prezbiterianie, luteranie, dopiero na piątym miejscu Kościół episkopalny (anglikański), potem kongregacjoniści. Stan Utah i, w mniejszym stopniu, Idaho zamieszkiwało około 350 tysięcy mormonów – było to najsilniejsze wyznanie, które powstało już w Ameryce. Protestancka część społeczeństwa ulegała coraz większemu zróżnicowaniu, bo sekty mnożyły się jak grzyby po deszczu, zaś niepodlegające mocnej dyscyplinie duże wyznania ulegały wtórnym podziałom. Najnowsza imigracja przyniosła ze sobą rozmaite odłamy prawosławia oraz stowarzyszony z katolikami Kościół greckokatolicki. I pod tym względem Stany Zjednoczone stały się istną wieżą Babel.

Wojna religijna Stanom nie groziła, gdyż już u początków niepodległości I poprawka do konstytucji nakreśliła standardy stosunków między wyznaniem i państwem. Zakazywała ustanawiania religii państwowej, zaś agnostyczny prezydent Jefferson zinterpretował ten przepis jako ustanowienie „muru” między obiema instytucjami. Wprawdzie poprawka była adresowana tylko do władz federalnych, ale do lat 30. XIX wieku wszystkie stany zrezygnowały z uznania któregokolwiek z Kościołów (na ogół purytańskich) za państwowy. Nie oznaczało to, że nie wybuchały konflikty. Aby wypełnić wielożeństwo mormonów, władze federalne użyły w Utah wojska, wymuszając po krwawych utarczkach zakaz bigamii w stanowej konstytucji. Jeszcze w latach 1904–1907 Senat prowadził, ostatecznie umorzony, dochodzenie w sprawie swojego nowego członka, szanowanego republikanina z tamtej krainy, Reeda O. Smoota, podejrzanego jeśli nie o praktykowanie wielożeństwa, to o jego obronę.

Zarazem przedmiotem permanentnego sporu między wyznaniem stało się szkolnictwo. Na ogół irlandzcy biskupi katoliccy nie chcieli zrezygnować z odrębnych szkół parafialnych konkurujących z publicznymi. Od lat 70. protestanci domagali się publicznej kontroli nad nimi. Władze lokalne na terenach zdominowanych przez katolików udzielały takim szkołom finansowej pomocy, wychodząc z założenia, że jest to gwarancja wolności nauczania.

Zdaniem protestantów było to naruszenie „muru”. Wojna o wspieranie szkół katolickich w stanie Nowy Jork prowadziła do ochrzczenia tamtejszych optujących za katolickimi racjami demokratów mianem „partii rzymskiej”. Atakowani odwdzięczali się oskarżeniami o tyranie i łamanie sumień. Spór toczył się głównie na szczeblu stanowym. Choć jedną ze stron waśni byli przeważnie katolicy, na niektórych terenach w obronie własnych szkół parafialnych występowali też luteranie. Republikański kongresmen James G. Blaine z Maine zaproponował w 1870 roku poprawkę do federalnej konstytucji zabraniającą wspierania szkolnictwa wyznaniowego. Została przyjęta ogromną większością przez Izbę Reprezentantów, ale odrzucona przez Senat, w którym niechętnie zareagowali również protestanci południowi demokraci, bojąc się zwiększenia ingerencji władz federalnych w sprawy oświaty.

Jednak republikańskie kongresy zmuszały nowo przyjmowane stany do deklarowania w swoich konstytucjach swoistej wyznaniowej neutralności edukacji.

Do 1899 roku aż 24 stany zakazały finansowania z funduszy publicznych szkolnictwa prywatnego. Katolicy odpowiadali protestami, wskazując, że podręczniki i nauczyciele w szkołach publicznych rozbudzają niechęć do papieża i jego wyznania. Powoływano się też na różnorakie szykany, jak usunięcie ze szkół w typowo republikańskim i protestanckim stanie Vermont (Nowa Anglia) około 100 katolickich

uczniów za pozostanie w domu w dzień Bożego Ciała. Sprawa miała szerszy kontekst. Amerykańscy protestanci przejęli antykatolickie uprzedzenia współwyznawców z Europy. Zarzucali katolikom nieposzanowanie zasady oddzielenia Kościoła od państwa, a czasem niezdolność pogodzenia lojalności wobec Watykanu z lojalnością wobec USA. „To jest bitwa między prawem Ameryki do posiadania własnych ustaw i roszczeniami włoskiego księcia mieszkającego w Rzymie, który chce mieć władzę ich unieważniania”, opisywała w 1889 roku „Chicago Tribune” spór z katolikami w sprawie szkół publicznych w Illinois.

Trwał też spór o styl życia. Katolicy uznawali takie pomysły, jak ustawowy zakaz pracy w niedzielę, zakaz sprzedaży alkoholu czy zakaz loterii (hazardu), forsowane w wielu stanach, za wyraz protestanckiej nadgorliwości. Dla protestantów te reakcje były dowodem na demoralizację papistów.

Protestancka większość nie mogła sobie darować antykatolickich gestów. W 1867 roku zamknięto przedstawicielstwo dyplomatyczne w Watykanie. W 1885 roku próbowano zablokować w Senacie nominację katolickiego i demokratycznego asystenta prokuratora generalnego Zachariaha Montgomery’ego, argumentując, że jest on przeciwny oświacie publicznej. W XIX wieku liczba nominacji katolików na najwyższe urzędy federalne była zresztą – nawet przy demokracji Clevelandzie – znikoma.

A zarazem „mur” między Kościołem (czy raczej Kościołami) a państwem nie oznaczał państwa laickiego. W 1844 roku sędzia Sądu Najwyższego USA Joseph Story oznajmił w orzeczeniu, że zasady chrześcijaństwa są częścią amerykańskiego common law – prawa powszechnego. Pomimo światopoglądowego chaosu, wywołanego wielością wyznań, zwłaszcza w stanach zachodnich, dających

schronienie „ludziom luźnym”, tej zasady raczej nie kwestionowano.

Nie budziły większego zdziwienia religijne inwokacje do konstytucji stanowych, obecność kapelanów i modlitw w legislaturach stanowych, ale i w Kongresie, czytanie Biblii na początku dnia zajęć w szkołach publicznych (jednak zarządzane na ogół przez władze lokalne lub same szkoły i już w XIX wieku podważane przed sądami), czy wreszcie kary za bluźnierstwo.

W 1887 roku Sąd Najwyższy stanu New Jersey skazał obywatela na grzywnę za negowanie istnienia Boga, pomimo kwiecistej obrony pułkownika Roberta G. Ingersolla, znanego działacza republikańskiego i wolnomyśliciela. W konstytucjach kilku stanów wschodnich i południowych zachowały się nawet – obok gwarancji wolności religijnej – żądania, aby urzędy obejmowali wyłącznie ludzie wierzący.

Kilkanaście stanów, głównie wschodnich oraz Midwestu, wróciło do zapomnianych ustaw bądź uchwaliło zakaz pracy w niedzielę (czasem zwalniano z nich jednak czczących sabbat Żydów). Często tzw. Sunday Laws powiązane były z zakazem „grzesznych rozrywek”, co odzwierciedlało poglądy purytanów, ale już nie katolików czy luteranów. Jednocześnie, niedzielne ustawy budziły sympatię związków zawodowych, jako nadzieja na jedyny dzień godziwego odpoczynku – wbrew woli pracodawców. Z tego też powodu okazały się nieskuteczne, a głęboko religijnemu senatorowi Henry’emu Blairowi z New Hampshire nie udało się przeforsować niedzielnej ustawy federalnej.

Ożywienie religijne końca XIX wieku przyniosło również coraz powszechniejsze żądanie wprowadzenia prohibicji, czyli delegalizacji alkoholu. Nie było nowe. Już amerykańskie kolonie nakładały, zgodnie z purytańską tradycją naginania jednostki do zbiorowej woli, ograniczenia na produkcję i sprzedaż mocnych trunków. Dla przykładu,

Wirginia zabraniała przesiadywania w tawernie „bez należytej potrzeby” w XVII wieku. Pełny zakaz wprowadził

stan Tennessee w 1838 roku, a potem wiele stanów poszło tą samą drogą, ustanawiając, choć i uchylając, antyalkoholowe prawa. Od lat 60. XIX wieku z alkoholem walczyło Narodowe Towarzystwo Abstynencji (National Temperance Society), a od lat 70. także Kobięca Chrześcijańska Unia Abstynencji (Women’s Christian Temperance Union). Ta ostatnia powstała w szczególnych okolicznościach. W mieście Hollsboro, w stanie Ohio, grupa kobiet pod przywództwem żarliwej czytelniczki antyalkoholowych broszurek Elisy Thomson, córki byłego gubernatora i żony szanowanego sędziego, wyruszyła 23 grudnia 1873 roku z presbiteriańskiego kościoła pod kolejne lokale z wyszynkiem (czyli tak zwane saloony). Tam pobożnymi śpiewami na ośnieżonych ulicach usiłowały zmusić ich właścicieli do zaniechania sprzedaży alkoholu. Po pewnym czasie właściciele skapitulowali, a ruch rozprzestrzenił się w sąsiednich miasteczkach.

W ciągu trzech miesięcy w około 250 gminach stanu Ohio zakazano sprzedaży mocnych trunków (mówiono, że stały się one „suche”). Duch krucjaty zwyciężył. Było o niej coraz głośniej w całym kraju, zwłaszcza odkąd na czele Unii stanęła w 1879 roku charyzmatyczna mówczyni Frances E. Willard, prezydent żeńskiego college’u w stanie Illinois, głosząca, że „alkohol i tytoń oddzielają kobietę od mężczyzny”.

Niestrudzony senator Blair złożył w 1876 roku projekt poprawki konstytucyjnej, chcąc, aby prohibicja stała się prawem federalnym. Jego intencję zrealizowano ponad 40 lat później. Niemniej ofensywa zwolenników wstrzemięźliwości postępowała. W 1894 roku również w Ohio oraz w stolicy kraju, Waszyngtonie, powołano do życia kolejną organizację – Narodową Ligę Antysaloonową (National Anti-Saloon League), prowadzącą lobbing na terenie nieomal wszystkich stanów.

„Naszym celem nie jest wywoływanie lokalnego sentymentu za lokalnymi prawami czy wyrzucenie saloonu z tego czy innego miasteczka. Naszym celem jest całkowite rozwiązanie problemu alkoholu”, tłumaczył przywódca Ligi, pastor Howard Hyde Russell, wskazując na hasło

„saloon musi odejść”.

Jednak w 1900 roku tylko w czterech stanach obowiązywał całkowity zakaz sprzedaży mocnych trunków: dwóch Nowej Anglii (New Hampshire i Maine) oraz dwóch środkowozachodnich (w Północnej Dakocie i Kansas). Zarazem wiele powiatów czy miasteczek wprowadzało go na własną rękę. Najtrudniej poddawały się zwolennikom prohibicji stany Dalekiego Zachodu (co wynikało z trybu życia tamtejszej, mało nawykłej do rygorów, ludności), a także pełne imigrantów wielkie miasta Wschodniego Wybrzeża.

Doraźne skrzykiwanie się w potężne ruchy nacisku, produkujące broszury, wygłaszające kazania na ulicach, to specjalność Amerykanów. Rzecznicy prohibicji stworzyli nawet partię wystawiającą bez powodzenia kandydatów do prezydentury.

Warto pamiętać, że ów ruch, angażujący ludzi popularnych w lokalnych społecznościach, pastorów, ale i adwokatów, lekarzy, nauczycieli, często dawnych antyniewolniczych reformatorów, posługiwał się różnorodną argumentacją.

Choć tradycyjny w swej motywacji religijnej i surowości obyczajowej, niechętny nowej miejskiej kulturze i „zapijaczonym imigrantom”, odwoływał się on i do szlachetniejszych argumentów. Demonizowany potem przez historyków, tym bardziej przez popkulturę, optował za wizją społeczeństwa, w którym ojcowie rodzin zapewnią bliskim

godziwy dochód i opiekę. Szczególnie mocno stawiał problem godności kobiety. Prohibicjoniści domagali się emancypacji kobiet, także przyznania im prawa głosu. A Frances Willard okazała się cenioną społecznicą, propagującą pomoc biednym oraz ustawy wspierające samotne matki i chroniące słabszą płęć przed seksualną przemocą.

Niektórzy badacze twierdzą nawet, że masowy udział kobiet w ruchu prohibicyjnym był ich krzykiem protestu przeciwko dominacji mężczyzn. Atakowały saloony, do których nie miały wstępu, a które dla ich mężów stanowiły symbol życia wolnego od troski o rodzinę. Zarazem w wielu miejscowościach zbierali się w nich obywatele, aby radzić o polityce. To także był świat czysto męski.

W 1900 roku zaledwie cztery stany gwarantowały kobietom pełne prawo udziału w wyborach wszystkich szczebli. Wszystkie były zachodnie i sąsiadujące ze sobą: Utah i Wyoming (nadały je w latach 70., jeszcze jako terytoria) oraz Kolorado (1893) i Idaho (1896). To naturalne, bo właśnie w surowych warunkach tamtych słabo zaludnionych terenów rola kobiety musiała być duża. Początkowo wydawało się, że postulaty sufrażystek zostaną potraktowane przez republikanów jako jedno z ich zobowiązań reformatorskich po wojnie domowej. Tak się jednak nie stało. W 1872 roku Susan Anthony, szefowa amerykańskich sufrażystek, została aresztowana za próbę głosowania w Rochester (stan Nowy Jork), a w 1873 roku Sąd Najwyższy USA odmówił Myrze Bradwell nawet prawa przyjęcia do palestry stanu Illinois. „Powołaniem kobiety jest zaszczytna rola żony i matki”, pouczył ją przy okazji sędzia Joseph P. Bradley. „Owszem, kobiety są obywatelami, ale obywatelstwo to udział w narodzie, nic więcej”, stwierdzili jednogłośnie sędziowie dwa lata później, przy okazji podobnej sprawy. Dopiero w latach 90. stany zaczęły dopuszczać kobiety do praktykowania w zawodzie adwokackim. Siedemnaście stanów pozwoliło zamężnym kobietom zasiadać w radach szkolnych, a

trzy – uczestniczyć im w referendach dotyczących finansów. Lecz jednocześnie mężczyźni Nebraski i Oregonu odmówili w referendum swoim żonom i córkom praw wyborczych.

Było to o tyle paradoksalne, że blisko jedna piąta amerykańskich kobiet pracowała zawodowo (w największym stopniu przedstawicielki wielkomiejskich warstw niższych – z powodów ekonomicznych). Odsetek dziewcząt uczęszczających do szkół średnich i na uniwersytety przewyższał podobne liczby w państwach europejskich. Skądinąd, w kwestii praw kobiet Europa była jeszcze bardziej wstrzeźliwa. Francja, rządzona na ogół przez formacje nazywające się lewicą, nie dopuściła ich do głosowania aż do II wojny światowej.

Odpowiedź na pytanie, na ile to społeczeństwo było tradycyjne, nie jest prosta. W roku 1873 inspektor pocztowy i moralista Anthony Comstock, lider kolejnego ruchu entuzjastów, przekonał Kongres do ustawy zakazującej przesyłania pocztą „materiałów obscenicznych”. Na podstawie tak zwanego prawa Comstocka zaliczono do nich, obok oczywistej pornografii i, twórczość Balzaka czy Wilde’a – książki tych autorów konfiskowano na granicy. Do 1900 roku aż 30 stanów wprowadziło własne formy podobnej kontroli.

W latach 90. XIX stulecia wszystkie stany poza Luizjaną zakazały loterii, a Kongres spróbował zablokować jej rozprzestrzenianie się przez granice międzystanowe. Podobnymi zakazami obejmowano i inne rodzaje gier. W drugiej połowie XIX wieku wiele stanów odkryło wreszcie potrzebę uchwalenia ustaw zakazujących aborcji. Katolickich demokratów i „pietystycznych” protestanckich republikanów dzielił pogląd na szkoły, często i na alkohol czy hazard, ale w latach 90. jedni i drudzy poparli prawa zakazujące propagowania antykoncepcji w takich stanach, jak Massachusetts czy Connecticut.

Jednocześnie kobiety, acz pozbawione prawa głosu, cieszyły się już w trzech czwartych stanów pełnią praw majątkowych i osobistych. Małżeństwo nabierało charakteru kontraktu zawieranego przed sądem. Co więcej, stosunkowo surowej obyczajowej cenzurze towarzyszyła względna łatwość uzyskania rozwodu: w Amerykanach pozostało jednak coś z ducha dawnych buntowników i wędrowców. Już w 1867 roku 33 na 37 stanów uznawało rozwód przed sądem. Niektóre – Connecticut, Ohio, Indiana – stawały się rajem rozwodowym, ze względu na liberalne przepisy. W 1886 roku Carroll D. Wright z federalnego Bureau of Labor ogłosił, że w USA rozwodzi się więcej par niż w reszcie państw świata.

Również władza rodziców nad dziećmi nie była tak surowa, jak choćby we Francji – pomimo zachowania w niektórych stanach staroświeckich drastycznych ustaw, które jednak często były już martwe. Przybysze z Europy zwracali uwagę, że zwłaszcza w bogatszych amerykańskich domach dziecko ma więcej do powiedzenia niż jego rówieśnik z za oceanu.

Zarazem zwiększano brzemień odpowiedzialności rodziny za dziecko. Największym wyzwaniem było usankcjonowanie obowiązku szkolnego. Sądy miały wątpliwości, czy nie narusza to wolności i pytały – jak Sąd Najwyższy stanu Illinois – czy państwo ma prawo zastępować rodziców. Do końca stulecia taki obowiązek wprowadziły jednak wszystkie stany północne z wyjątkiem dwóch, ale z dawnych stanów niewolniczych jedynie Kentucky.

Czy był skuteczny? Także gdy chodzi o liczbę uczniów na liczbę mieszkańców USA górowały nad najbardziej cywilizowanymi narodami Europy. W 1900 roku w amerykańskich szkołach zarejestrowano około 70 procent dzieci w wieku od 5 do 17 lat. Był to stożek zwężający się ku górze: w tym samym roku liceum ukończyło zaledwie 4 procent

siedemnastolatków, to jednak i tak więcej, niż w krajach europejskich. W ostatnich 20 latach XIX stulecia wydatki na jednego ucznia wzrosły o połowę. Pomimo całego swojego indywidualizmu, z systemu publicznego i bezpłatnego szkolnictwa Amerykanie byli po prostu dumni.

Jego poziom podnosił się i następowało nawet – mimo podporządkowania szkół stanom – upodabnianie się programów szkolnych w różnych częściach kraju. Dawały za to ciągle o sobie znać kontrasty regionalne. Fundusze na edukację w stanach południowych były mniejsze. Przy braku powszechnego obowiązku szkolnego jeszcze w 1900 roku pobierało tam naukę zaledwie 29 procent chłopców i 32 procent dziewcząt. O ile na przełomie wieków niespełna 5 procent ludności stanowili analfabeci, o tyle na Południu było ich aż 12 procent.

W przypadku ludności murzyńskiej co najmniej połowa to analfabeci. Zasada *separate but equal* była w tej dziedzinie szczególnie nieprawdziwa: w 1900 roku w Południowej Karolinie Murzyni, którzy stanowili tam aż 61 procent ludności, korzystali z 23 procent pieniędzy przeznaczonych na nauczanie. Nieomal kompletny brak murzyńskiej elity, którą trudno było wyłonić w warunkach segregacji, unicestwiał równość szans czarnych dzieci.

Szkoły stawały się zarzewiem konfliktów. Poza waśniami o wspieranie szkół parafialnych z pieniędzy podatników, nowe grupy narodowe opierały się wprowadzonemu pod koniec XIX wieku przez większość stanów wschodnich i środkowozachodnich obowiązkowi wykładania – także w szkolnictwie prywatnym – podstawowych przedmiotów w języku angielskim. Spory te były przegrywane – jak w Wisconsin czy Illinois u schyłku lat 80. – przez mniejszości, a szkoła odgrywała coraz większą rolę w zintegrowaniu najmłodszego pokolenia rodzin

imigranckich z nową ojczyzną.

Stosunkowo surowa, przy pewnych wahaniach, okazywała się Ameryka wobec przestępców. Na krótko przed i po wojnie secesyjnej, pod wpływem ożywienia idei humanitarnych, pięć stanów północnych – Michigan, Rhode Island, Wisconsin, Iowa i Maine – zniosło nawet karę śmierci, ale przywracano ją w latach 80. i 90. Na początku XX wieku znów obowiązywała w całym USA, z wyjątkiem jednego Maine, na podstawie stanowych ustaw.

Zarazem ograniczano jej zakres: kodeks federalny z 1897 roku, obowiązujący w terytoriach i w Dystrykcie Kolumbii, a przyjęty przez Kongres, przewidywał tę karę jedynie za morderstwo i gwałt, podczas gdy poprzednia ustawa – aż za 60 przestępstw. Co więcej, płomyk oporu wobec uśmiercania z mocy prawa tlił się, i to nie tam, gdzie można by się go spodziewać. W środkowo-zachodnim Kansas, farmerskim, purytańskim i prohibicyjnym, po roku 1870 karę główną czasem orzekano, ale nigdy nie wykonywano. Po prostu kolejni republikańscy gubernatorzy odmawiali podpisania nakazu egzekucji, a mieli takie prawo.

W tym samym jednak czasie w sąsiednich jeszcze nie stanach a terytoriach, Oklahomie czy Arizonie, wieszano na potęgę nawet i za kradzieże, ucząc w ten sposób szacunku dla prawa. A co więcej, karano tak, choć rzadziej i tylko za najcięższe zbrodnie, w cywilizowanych stanach wschodnich. To Nowy Jork jako pierwszy zastąpił w 1899 roku szubienicę krzesłem elektrycznym, w teorii bardziej humanitarnym. Kary więzienia były dość wysokie, a więzienia srogie. Nieśmiały ruch, aby je reformować, zaczął się dopiero w latach 90. Do 1900 roku 12 stanów północnych wprowadziło urząd sędziego penitencjarnego czuwającego nad losem więźniów, zaczęto też eksperymentować ze spacerami, książkami i częstszymi wizytami rodzin.

Na Południu było jeszcze bardziej rygorystycznie: dopiero w 1882 roku zniesiono karę chłosty w Wirginii, zaś w Arkansas i Tennessee jeszcze później zrezygnowano z publicznych egzekucji. Kentucky, Missouri, Missisipi i Luizjana zakazały wydzierżawiania więźniów jako bezpłatnych robotników prywatnym przedsiębiorcom. Ale wiele innych stanów, nie tylko południowych, weszło z takimi praktykami, przypominającymi niewolnictwo, w XX wiek.

Ameryka szafowała surowym prawem nie bez przyczyny, skoro w ponad półtoramilionowym Chicago popełniano więcej przestępstw niż w całej 40-milionowej Anglii. Zarazem to gwałtowne, chętnie sięgające po broń, społeczeństwo cieszyło się żywotną tradycją wymierzania sprawiedliwości bez pomocy państwa. Lincz dotyczył nie tylko Murzynów. Na 2 tysiące takich czynów wymierzonych w czarnych (w latach 1882–1903) przypadło 1184 wymierzonych w białych (choć także i w Chińczyków). W 1884 roku w Cincinnati (stan Ohio) protest przeciw pobłażliwości wobec morderców zakończył się zdemolowaniem gmachu sądu i liczbą 50 ofiar. Nawet niektórzy sędziowie skłonni byli głosić, że lincz to protest przeciw nieudolności wymiaru sprawiedliwości. Zwłaszcza na Zachodzie rozpowszechniona była instytucja łowców przestępców

i ochotniczych stowarzyszeń wyręczających zawodowców. Wpływała na to federalna struktura państwa, szeryfowie rzadko ścigali złoczyńców poza własnym terenem. Tradycja noszenia broni przez każdego mężczyznę spowodowała, że od lat 70. XIX wieku gubernatorowie poszczególnych stanów mogli zmobilizować, poza federalnym wojskiem, około 100 tysięcy ludzi w całym kraju, w ramach tzw. Gwardii Narodowej.

Piotr Zaremba

*Prezentowany tekst otwiera pierwszy tom historii politycznej USA.
Poznajemy dzięki niemu panoramę Stanów Zjednoczonych ok. 1900
roku i najważniejsze debaty, jakie wówczas prowadzono.
Wielokulturowość, wieloetniczność, purytanizm i rozwój szkolnictwa.*

*Piotr Zaremba podjął się dzieła bezprecedensowego. W serii tomów
przedstawi polityczne losy Ameryki od początku XX wieku do lat
ostatnich. Błyskotliwa, erudycyjna i świetnie napisana. Polecamy!*

Tu można kupić książkę